



INFEKCJA

GRAHAM MASTERTON



ROZDZIAŁ 1

Anna słyszała już w życiu różne krzyki, ale takiego jak ten – nigdy. Był to zduszony wrzask przechodzący w skowyt, przepelniony ogromną boleścią, który trwał przez pełne dziesięć sekund i wreszcie skończył się gardłowym charkotem. Tak mógł wyc pies, który dostał się pod walec drogowy, ale nie człowiek.

Uniosła głowę znad okularu mikroskopu i przez chwilę nasłuchiwała. Z korytarza dotarły do niej jakieś nawoływania i dudnienie, później tupot biegnących stóp i terkot noszy na kółkach, bardzo szybko pchanych po śliskiej winylowej podłodze.

Kiedy nosze miały drzwi jej laboratorium, mężczyzna krzyknął jeszcze raz i tym razem Anna mogła rozróżnić słowa:

– Zabierzcie to ode mnie! Zabierzcie to ode mnie!

Po chwili ktoś inny krzyknął:

– Jezu!

Anna szybko podeszła do drzwi i otworzyła je. Zdążyła zobaczyć pielęgniarkę i dwóch szpitalnych ratowników medycznych pchających nosze w kierunku wind. Mężczyzna, który na nich leżał, wymachiwał rękami, a jego ciało podry-

giwało jak rażone prądem elektrycznym. Z jego ust tryskały fontanny krwi, która przemoczyła już przód niebieskiej koszuli w kratę. Poplamione były też kitle pielęgniarki i ratowników, a nawet ściany.

Gdy cała grupa zniknęła za załomem korytarza, rozbrzmiał kolejny przeraźliwy krzyk. Przez chwilę słychać było jeszcze pisk kół na wykładzinie, potem dzwonek zatrzymującej się windy i zapadła cisza.

Anna przez kilka sekund stała w progu, poruszona i zaintrygowana. Widziała już niejednego krwotok, ale tego, co zobaczyła przed chwilą, nie dało się z niczym porównać. I jeszcze to straszne wycie!

Już miała wrócić do laboratorium, kiedy zauważyła mężczyznę, który niespodziewanie wyłonił się zza narożnika korytarza. Zatrzymał się i patrzył na Annę, nie mając jednak zamiaru podejść bliżej.

Miał krótko obcięte siwe włosy i starannie utrzymaną siwą brodę. Jego twarz była szara jak popiół, a głęboko osadzone oczy miały ciemne obwódki. Ubrany był w długą szarą marynarkę ze stójką. W sumie wyglądał tak, jakby właśnie wyszedł z czarno-białej fotografii. Wpatrywał się w Annę bardzo intensywnie, jakby chciał na zawsze zapamiętać jej twarz. Początkowo miał poważną minę, jednak po chwili na jego ustach zaczął się pojawiać uśmiech, aż w końcu mężczyzna obnażył zęby. Jego wargi poruszyły się, ale był zbyt daleko, by Anna mogła go usłyszeć.

Jego lubieżny wyraz twarzy zdawał się mówić: „Mógłbym cię mieć, damulko, gdybym tylko chciał”. Patrząc na Annę wyzywająco, mężczyzna oblizał wargi czubkiem języka, jakby postanowił podkreślić to wrażenie.

Anna nie rozpoznała w nim żadnego z pracowników szpi-

tala i już miała zawołać: „Halo, proszę pana!”, gdy ten zrobił krok do tyłu i zniknął za załomem korytarza.

Nie poszła za nim. W końcu ochrona szpitala nie należała do jej obowiązków. Wciąż jednak stała w drzwiach i zastanawiała się, kim mógł być tajemniczy mężczyzna, kiedy nadeszła jej asystentka Epiphany z dwoma styropianowymi kubkami kawy. Epiphany z przerażeniem patrzyła na krwawe odciski stóp i plamy na podłodze.

– Jasna cholera, Anno. Co się tu dzieje, do diabła?

– Właśnie wywieźli stąd pacjenta, któremu leciały z ust fontanny krwi. Miał też straszne drgawki. Mój Boże, podskakiwał na tych noszach jak na trampolinie.

Epiphany podała jej kubek.

– Proszę. Przykro mi, ale nie było już kanapek z masłem orzechowym. Nie wiedziałam, co innego miałabyś ochotę zjeść.

– Nie ma problemu, Epiphany. Zdaje się, że i tak straciłam apetyt.

Wróciły do laboratorium, jednak Anna nie od razu podeszła do mikroskopu. Czuła się niewiarygodnie spięta, tak jakby scena, której przed chwilą była świadkiem, zapowiadała coś znacznie gorszego, co miało dopiero nadejść. Widok tego pacjenta obudził w niej jakieś głęboko ukryte wspomnienie – gdzieś czytała opis podobnego ataku, a może słyszała o tym na wykładzie. Szczególnie uderzyły ją słowa, które wyrzaskiwał pacjent: „Zabierzcie to ode mnie!”. Była zła na siebie, że nie pamięta, czego konkretnie dotyczy jej wspomnienie.

Zaniepokoił ją też widok mężczyzny, który tak sugestywnie się do niej uśmiechał. Co on robił na korytarzu? I dlaczego był z siebie tak zadowolony?

– Dobrze się czujesz? – zapytała Epiphany, unosząc głowę znad laptopa. – Mamy jeszcze do zbadania dziewięć partii próbek, pamiętasz?

– Jasne. Tak... Właściwie sama nie wiem. Chyba nie najlepiej. To... to mnie rozstroiło.

– Och, daj spokój.

Epiphany podeszła do Anny i położyła jej dłoń na ramieniu. Obie kobiety były wysokie, jednak Epiphany miała kilka centymetrów wzrostu więcej. Włosy, splecione w cienkie warkoczyki, ozdobiła kolorowymi paciorkami. Anna miała krótkie, jasne włosy ze srebrnymi pasemkami, wysokie kości policzkowe i była bardzo szczupła. Jej matka powtarzała, że powinna była zostać modelką, ale ojciec – Edward Grey – był szanowanym biochemikiem i Anna zawsze marzyła tylko o tym, by pójść w jego ślady i zająć się medycyną.

Jej partner, David, powiedział kiedyś: „Właśnie za to tak bardzo cię kocham, Anno. Masz umysł Jonasa Salka i urodę Heidi Klum”.

– Zaraz mi przejdzie – rzuciła. – Muszę tylko chwilę odechnąć.

– Może poczujesz się lepiej, jeśli pójdziesz na chirurgię i sprawdzisz, co się dzieje z tym pacjentem? – zasugerowała Epiphany. – Pewnie od razu wzięli go na salę operacyjną, skoro tak rzygał krwią.

– Nie, nie. Musimy się zająć tymi próbkami, czas nas goni. Przecież nie chcemy, żeby kolejne dzieciaki cierpiały z powodu tego wstrętnego robala.

Dwa dni wcześniej Annie przysłano próbki krwi siedemdziesięciorga siedmiorga dzieci ze Szkoły Podstawowej Meramac w Clayton. Nagle wystąpiła u nich szybko postępująca choroba. Pięciolatki i sześciolatki po prostu przewracali

się w klasach i na boisku. Objawy przypominały grypę: osłabienie, dreszcze, gorączka, ale także wymioty i gwałtowna biegunka. Szkołę postanowiono zamknąć do czasu, aż Anna i jej zespół zdołają zidentyfikować wirusa, który zaatakował dzieci, i ustalić metodę leczenia. W tej chwili wszyscy mali pacjenci przebywali w izolatkach Szpitala Dziecięcego w Saint Louis.

– Na pewno dobrze się czujesz? – powtórzyła Epiphany.

– Proszę cię, dziewczyno... Nic mi nie jest. Lepiej wróćmy do naszego wirusa. Im dłużej się nim zajmuję, tym bardziej wygląda mi on na jakąś mutację wirusa ptasiej grypy, jak H5N1, tyle że jest znacznie bardziej agresywny.

– Rzeczywiście przypomina wirusa ptasiej grypy – zgodziła się Epiphany. – Ujawnia się mniej więcej tak samo, ale rozprzestrzenia się dziesięć razy szybciej, a objawy choroby, którą wywołuje, są dziesięciokrotnie silniejsze.

Anna upiła mały łyk kawy z mlekiem – wciąż była bardzo gorąca – i pokiwała głową.

– Nie reaguje na żaden ze zwykłych środków przeciwwirusowych. Próbowалам oseltamiviru i zanamiviru, ale bezskutecznie. Namnaża się jak napalone króliki.

– Słucham? – Epiphany pokręciła głową z niedowierzaniem. – Napalone króliki?

– Chyba rozumiesz, co mam na myśli. Króliki na speedzie. Króliki na wiagrze. Króliki mnożące się jak króliki. Jestem zbyt zmęczona, żeby logicznie mówić.

Znowu zamilkła. Nie mogła wymazać z pamięci wizerunku szarego człowieka z brodą stojącego na szpitalnym korytarzu. Wciąż miała przed oczami jego wargi rozciągające się w lubieżnym uśmiechu – jakby ktoś rozcinał mu usta ostrym nożem. Nie miała wątpliwości, że ten człowiek coś

do niej powiedział, i żałowała, że nie potrafi czytać z ruchu warg, ponieważ w wyobraźni wciąż widziała te poruszające się usta.

Upiła kolejny łyk kawy, po czym założyła na nos i usta maskę chirurgiczną i usiadła przed mikroskopem. Kiedy ustawiła ostrość, zobaczyła wiriony wirusa ze szkoły Meramac. Próbką została pobrana od pięcioletniego chłopca, który teraz w stanie krytycznym leżał w szpitalu. Ujrzała skupiska zabarwionych na zielono obiektów wyglądających jak kolczaste kulki.

Miała właśnie rozpocząć rejestrowanie serii obrazów w 3D, kiedy zadzwonił jej telefon komórkowy.

– Anna? – usłyszała nerwowy głos. To był Jim Waso, jej szef. – Jak idzie z próbkami z Meramac?

– Bardzo powoli – odparła. – Według mnie to jest prawie na pewno odmiana H5N1, tyle że bardzo złożona. Wykazuje wysoką odporność na wszystkie środki przeciwwirusowe, które zastosowałam. Mam jednak pewien plan. Za chwilę spróbuję tyraniviru. Mam nadzieję, że pomoże poznać prawdziwy charakter wirusa. Rozumiesz?

– Jasne – odparł Jim Waso. – Mam dla ciebie przykrą wiadomość. Przed pięcioma minutami odebrałem telefon ze Szpitala Dziecięcego. Mniej więcej pół godziny temu zmarła sześciolatnia dziewczynka, Deborah-Jane Crusoe. Niewydolność oddechowa. No i jeden z pięcioletnich chłopców jest w tak złym stanie, że lekarze wątpią, by miał szansę przeżyć najbliższą noc.

– Robię, co mogę, Jim, uwierz mi. Wkrótce dołączą do mnie doktor Ahmet i doktor Kelly, to będzie duże wsparcie. Z Centrum Kontroli Chorób właśnie otrzymałam najnowsze dane o mutacjach H5N1. Chcę się skupić zwłaszcza na tych

pochodzących z serii zachorowań, do których doszło w zeszłym miesiącu w San Bernardino.

– Anno... Nie muszę ci mówić, że sytuacja jest krytyczna. Za dwadzieścia minut mam konferencję prasową i chciałbym koniecznie powiedzieć dziennikarzom coś pozytywnego. Po pierwsze, chodzi o naszą reputację, a po drugie, nie możemy dopuścić do tego, żeby w mieście wybuchła panika.

– Już ci powiedziałam, Jim, robię wszystko, co w mojej mocy. A przy okazji, zanim się rozłączysz, powinienes wiedzieć, że jakieś dziesięć minut temu widziałam na korytarzu pacjenta w strasznym stanie. Miał drgawki i silny krwotok z ust. Wiesz coś na ten temat?

– Hm... nie. Nikt mi nic o tym nie mówił. Ale poproszę Gerdę, żeby to sprawdziła, jeśli chcesz. Masz jakieś szczególne powody, żeby interesować się tym pacjentem?

– Właściwie nie. Tyle że występujące u niego symptomy były bardzo dziwne. Znasz mnie. Interesują mnie objawy, które odbiegają od normy.

– Nie obraż się, ale to jest już jakiś objaw sam w sobie, moja czujna pani profesor.

Przez chwilę milczeli, zanim się rozłączyli. Chociaż Jim Waso zawsze zwracał się do niej dość ostro, Anna już kilka miesięcy temu zorientowała się, że uważa ją za atrakcyjną kobietę. Zapewne właśnie dlatego był wobec niej taki oschły, żeby nie zdradzić swojego zainteresowania nią. Ona też by się nim pewnie zainteresowała, gdyby w jej życiu nie było Davida.

Usłyszała odgłosy kroków na korytarzu i po chwili dotarł do niej śpiew kobiety, niemiłosiernie fałszującej melodię piosenki Rihanny:

– *You're beautiful, like diamonds in the sky...*

Wszystko wskazywało na to, że ekipa sprzątająca już rozpoczęła pracę. Anna ponownie naciągnęła maskę, gotowa powrócić do mikroskopu, ale w tej samej chwili kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Popatrzyła w stronę drzwi i ujrzała w okienku twarz z siwą brodą. Mężczyzna natychmiast znikł.

Podeszła do drzwi i otworzyła je. Na korytarzu pracowały dwie sprzątaczk. Jedna zmywała ze ścian ostatnie plamy krwi, a druga czyściła podłogę mopem. W powietrzu unosił się silny zapach środków dezynfekujących.

Anna rozejrzała się po korytarzu, jednak po mężczyźnie z siwą brodą nie było śladu. Być może to wyobrażenia spletała jej figla. Jeśli nie, facet musiał bardzo szybko uciec.

– Czy któraś z pań widziała przed chwilą jakiegoś mężczyznę? – zwróciła się do sprzątarek. – Siwy, w szarym płaszczu, z brodą...

– Przykro mi, ale nikogo tutaj nie było. Shirelle, widziałaś kogoś?

– Ani żywej duszy, słodziutka. Ale wciąż czekam na nowe okulary. W tych nie widzę już zbyt dobrze.

Anna powoli zamknęła drzwi do laboratorium. Kiedy wróciła na stanowisko pracy, znowu odezwał się telefon. Tym razem dzwonił Bernie Fishman, zastępca ordynatora oddziału chirurgii. Mówił głębokim barytonem; można było odnieść wrażenie, że za chwilę zacznie śpiewać jakąś arię.

– Anna? Tu Bernie Fishman. Wiem, że masz pełne ręce roboty z tą epidemią w Meramac, chciałbym jednak, żebyś na chwilę przyszła do sali operacyjnej. Dowiedziałem się od Jima, że interesuje cię jeden z naszych nowo przyjętych pacjentów.

– Masz na myśli tego faceta, który wymiotował krwią?

- Właśnie.
- Co z nim? Udało ci się opanować drgawki? A krwotok?
- Facet nie przetrzymał, Anno. Umarł dziesięć minut temu. Mimo to chciałbym, żebyś na niego zerknęła. Prawdę mówiąc, bardzo mi zależy na twojej opinii.
- Jestem zarobiona po uszy, Bernie!
- Wiem. Ale wystarczy pięć minut. Powinnaś go zobaczyć. Ten człowiek nie żyje, kiedy się jednak na niego patrzy, można odnieść wrażenie, że diabeł wciąż w nim tańczy.

ROZDZIAŁ 2

Bernie Fishman czekał na nią przed windą na drugim piętrze, na oddziale ratunkowym. Nie tylko mówił barytonem, także wyglądał jak poważny śpiewak operowy. Miał okrągłą twarz z podwójnym podbródkiem, łysinę otoczoną wiankiem czarnych włosów, szeroką pierś i krótkie nogi. Chodził majestatycznie, jakby przemierzał scenę w La Scali.

– Anno – powitał ją. – Jak się masz, ślicznotko? Nie widziałem cię ze sto lat.

– Widziałeś mnie w ostatnią środę, Bernie. Przy okazji imprezy charytatywnej Stroke Network. Postawiłeś mi prosecco.

– Ach, tak! Ale tam były takie tłumy. Nie mogliśmy porozmawiać *tête-à-tête*.

– Bernie, twoja *tête* znajduje się przynajmniej piętnaście centymetrów poniżej mojej *tête*. Nigdy nie porozmawiamy.

– Boże, jaka ty jesteś dla mnie okrutna.

Przeszli korytarzem do sal operacyjnych oddziału ratunkowego. Bernie pchnął drzwi do sali pooperacyjnej numer trzy i powiedział:

– Oto i nasz delikwent.

Pośrodku pomieszczenia stał wózek przykryty bladozielonym prześcieradłem. Drzwi zamknęły się i natychmiast

zapanowała absolutna cisza. W powietrzu unosił się słaby odór środków dezynfekujących i cynamonu, przypominający trochę zapach zwietrzałego kadzidła. Bernie podszedł do szafy po lewej stronie i podał Annie maskę.

– Pacjent nazywał się John Patrick Bridges. Sam dotarł na oddział ratunkowy o dziesiątej zero pięć. Narzekał na silny ból głowy i nudności. Gdy siedział w poczekalni, nagle zaczął jęczeć i krzyczeć. Rzucił się na podłogę, z ust poleciała mu piana, a potem dostał krwotoku.

– Widziałam go na korytarzu przed laboratorium – powiedziała Anna. – Jeszcze nigdy nie obserwowałam takich drgawek.

– Masz rację. Nawet wtedy, gdy już został uśpiony, musieliśmy go przywiązać do stołu operacyjnego. Potrzeba było do tego trzech silnych ludzi.

– Co z tym krwotokiem?

– Próbowaliśmy go opanować, ale krwi było tyle, jakby popękały wszystkie naczynia krwionośne w jego przełyku i żołądku. Nie nadążaliśmy z przetaczaniem. Stracił tak dużo krwi, że już nic nie mogliśmy dla niego zrobić. Przeprowadzimy oczywiście pełną sekcję zwłok, pomyślałem jednak, że ten przypadek cię zainteresuje. Miał bardzo wysoką gorączkę. Ostatni pomiar w odbycie wykazał czterdzieści stopni i trzy kreski.

– Facet praktycznie piekł się żywcem.

Bernie przeszedł na drugą stronę wózka i chwycił skraj prześcieradła.

– Jesteś gotowa? – zapytał.

Anna wzruszyła ramionami.

– Nie dowiem się, dopóki nie zobaczę.

Odślonił twarz martwego mężczyzny. Od razu zrozumiała, dlaczego powiedział, że w tym mężczyźnie wciąż tańczy

diabeł. Jego brązowe oczy były wytrzeszczone, a wykrzywiona w straszliwym grymasie twarz przywodziła na myśl średniowiecznego gargulca.

Anna podeszła bliżej i przyjrzała się uważnie zwłokom. Ciemnowłosy mężczyzna miał jakieś trzydzieści pięć lat. Na starannie utrzymanym, kilkudniowym zarostcie było widać resztki zakrzepłej krwi. Klatka piersiowa była dobrze umięsniona. Naturalna opalenizna już zaczynała blednąć, jakby pierwszą część lata mężczyzna spędził na urlopie i od tego czasu rzadko przebywał na świeżym powietrzu.

Anna odsłoniła brzuch. Był wypukły, co mogło być rezultatem nadużywania alkoholu, nie było to jednak wodobrzusze, czyli nagromadzenie płynu w jamie otrzewnej towarzyszące marskości wątroby.

– Z pobieżnych oględzin wynika, że nie ma żadnych obrażeń zewnętrznych, nawet zadrapań – powiedział Bernie.

– Rozumiem – odparła Anna.

Oglądając uważnie zwłoki, co chwila zerkąła ku twarzy zmarłego; nie mogła się powstrzymać.

– Jeszcze nigdy nie widziałam nikogo, kto wyglądałby tak tuż po śmierci – odezwała się w końcu. – Kiedy człowiek umrze, mięśnie wiotczą, zanim wystąpi stężenie pośmiertne. Jak to możliwe, że jego twarz jest tak powykrzywiana? Co się stało?

– Nie mam pojęcia. – Bernie wzruszył ramionami. – To jest właśnie jeden z powodów, dla których chciałem, żebyś na niego zerknęła. Przychodzi ci na myśl jakaś choroba, która mogłaby spowodować takie napięcie mięśni twarzy po śmierci?

– Hm... może choroba z Lyme? Wywołuje psychozę i napięcie mięśni. Psychoza wyjaśniałaby ten strach na jego twarzy.

– Tak, ale w wypadku choroby z Lyme zwykle sztywnieją stawy, prawda? Podobnie jak w reumatoidalnym zapaleniu stawów. A u tego pacjenta nie wystąpiły żadne problemy z ich ruchomością.

Anna przez długą chwilę w milczeniu wpatrywała się w twarz mężczyzny. Jeszcze nigdy nie widziała tak potwornego przerażenia na twarzy ani u trupa, ani u żywego człowieka.

– Nie – powiedziała. – Moim zdaniem to nie jest choroba z Lyme. Jeśli jednak nie masz nic przeciwko temu, pobiorę próbki krwi, moczu i kału. Co o nim wiemy?

– Według dokumentów, które znaleźliśmy w portfelu, facet pracuje w urzędzie miasta i nadzoruje rozdział subwencji... czy raczej nadzorował. Policja właśnie informuje o jego śmierci najbliższych.

– Był żonaty? Samotny? Żył w jakimś związku? Gdzie mieszkał?

– Na serdecznym palcu lewej ręki ma złotą obrączkę, ale czy w dzisiejszych czasach to cokolwiek znaczy? Mieszkał w Maplewood, to całkiem szacowna okolica, ale...

W tym momencie otworzyły się drzwi i na progu stanęła młoda rudowłosa sekretarka.

– Doktorze Fishman, telefon do pana. Dzwoni pańska żona w sprawie filtru do basenu.

– Ach tak. – Bernie jakby nagle sobie o czymś przypomniał. – Przepraszam, Anno, ale muszę się tym zająć.

Gdy wyszedł, Anna została sam na sam z martwym Johnem Patrickiem Bridgesem. Wyciągnęła z kieszeni telefon komórkowy i wykonała siedem fotografii jego twarzy – ze wszystkich stron – po czym ściągnęła prześcieradło aż do kostek i dodatkowo zrobiła kilkanaście zdjęć nagiego ciała.

Popatrzyła na zegarek. Przypadek Bridgesa ją zainteresował, lecz musiała wracać do laboratorium. Przykryła ciało, ale w chwili, gdy miała naciągnąć prześcieradło na twarz mężczyzny, usłyszała łagodny szept:

– Ocal mnie.

Anna zmartwiała. Dreszcz przebiegł jej po plecach, jakby ktoś przeciągnął po kręgosłupie lodowato zimnymi palcami. Popatrzyła uważnie na twarz zmarłego; gotowa była przysiąc, że spojrzenie wylupiających brązowych oczu jest teraz wlepione w nią, a nie w sufit. Usta wciąż były wygięte, rysy ani trochę nie złagodniały, była jednak pewna, że w wyrazie jego twarzy widzi coś więcej niż przerażenie. Sprawiał wrażenie, jakby błagał ją, żeby go ocaliła – przed tym, co tak straszliwie go przestraszyło.

– Jestem naprawdę przerażony. Ocal mnie.

Powoli się wyprostowała. Nie zakryła twarzy martwego mężczyzny.

– Ocal mnie – usłyszała ponownie. Nie zauważyła, żeby usta Johna Patricka Bridgesa się poruszyły, ale w głębi umysłu nie miała wątpliwości, że jego oczy patrzą wprost na nią. – Zabierz to ode mnie. Ocal mnie.

Nie wiedziała, czy reagować na te słowa, czy nie. Bridges był martwy... w każdym razie został uznany za martwego. Skoro stracił tyle krwi, po prostu musiał być martwy.

Anna, choć wytrącona z równowagi, pomyślała jednak: przecież jestem lekarką. Jeśli jakimś cudem ten mężczyzna jeszcze żyje, muszę podjąć akcję ratunkową, i to natychmiast.

Nie odrywając wzroku od jego twarzy, przycisnęła wskazujący i środkowy palec do tętnicy na jego szyi. Nic. Skóra była zimna, puls nie wyczuwała.

Spróbowała zmierzyć puls na nadgarstku. Znowu nic.

– Jesteś martwy – powiedziała głośno.

W sali pooperacyjnej było tak cicho, że Annę zaskoczył jej własny głos. Rozejrzała się szybko po pomieszczeniu, jakby się spodziewała, że te słowa wypowiedział brzuchomówca stojący tuż obok niej.

W tym momencie w drzwiach pojawił się Bernie Fishman.

– Co za niedołęga! Spalił cholerną pompę, a nowa będzie mnie kosztowała sześćset dolarów! – Zatrzymał się, zobaczwszy zaniepokojenie na twarzy Anny, i zapytał zupełnie innym tonem: – Co jest? Co się stało? Wyglądasz, jakbyś właśnie zobaczyła ducha!

Anna się zawahała. Wiedziała, że ktoś, kto nie żyje, nie mógł się do niej odezwać. Musiała to sobie wyobrazić. Była bardzo zmęczona i zdenerwowana. Spała w nocy tylko dwie i pół godziny, a w szpitalu zjawiła się bardzo wcześnie, żeby kontynuować badania nad wirusem z Meramac.

– Nic, nic – odparła. Po chwili jednak powiedziała: – Popatrz na jego oczy, Bernie.

– Co?

– Popatrz na oczy tego trupa.

Lekarz podszedł do zwłok i spojrzał na nie z uwagą.

– Nie rozumiem – odezwał się po chwili. – Czego chcesz od jego oczu?

– Przedtem patrzył w sufit. A teraz spogląda w moim kierunku.

– On nie żyje, Anno. Prawdopodobnie tężeją więzadła mięśni. Spójrz!

Bernie pomachał dłonią przed twarzą Bridgesa, ten jednak nawet nie mrugnął.

– On jest martwy, Anno. Odszedł od nas i dołączył do *el coro invisible*.

Anna przez długą chwilę milczała, wreszcie się odezwała:

– Bernie, on do mnie mówił.

Cisza. Chirurg uniósł głowę i potoczył wzrokiem po suficie, jakby usłyszał brzęczącą muchę i chciał się przekonać, gdzie lata.

– Twierdzisz, że mówił do ciebie?

– Jestem pewna, że to nie było złudzenie. To był jedynie szept, ale na pewno powiedział: „Ocal mnie”, a potem jeszcze dodał: „Zabierz to ode mnie”. I jeszcze raz: „Ocal mnie”.

– On nie żyje, Anno. Facet jest *kaput*. Ostatnio zdecydowanie za ciężko pracujesz.

– Bernie...

– On naprawdę nie żyje, Anno. Martwi ludzie nie mówią.

– Hm... pewnie masz rację. Muszę wracać do laboratorium. Jim naciska mnie, żebym jak najszybciej dostarczyła jakieś wyniki.

Bernie przykrył prześcieradłem twarz trupa i podszedł do drzwi.

– Chodź – powiedział do Anny. – Zanim wrócisz do siebie, wypijemy kawę. Chyba naprawdę potrzebujesz chwili oddechu.

♦ ♦ ♦

Usiedli w szpitalnej kantine przy oknie. Rozpościerał się przez nie widok na wybrukowany dziedziniec z drzewkami w dużych kamiennych donicach, a gdyby wysoko unieść głowę, można by zobaczyć prostokąt błękitnego nieba, na którym unosiły się postrzępione białe chmury. Anna zdała sobie sprawę, że już prawie od tygodnia nie była w dzień na świeżym powietrzu. Wychodziła do pracy, kiedy na dworze jeszcze panował mrok, i wracała do domu, gdy już było ciemno. Przez ostatnie trzy dni David przebywał w Chicago

na konferencji biznesowej, nie miała więc motywacji, żeby kończyć pracę przed wieczorem. W konsekwencji kiepsko się odżywiała; na lunch kupowała sałatki na wynos, a późno w nocy zamawiała pizzę z dostawą do domu.

Właściwie nie miała ochoty na kolejną kawę, ale towarzystwo Berniego zawsze poprawiało jej nastrój. Poza tym wiedziała, że on ma rację – potrzebowała kilku minut na zebranie się w sobie i uporządkowanie myśli. Bezustannie powtarzała Epiphany, żeby ta nie poddawała się stresowi, a tymczasem sama nie stosowała się do własnej rady: pracowała ponad siły, w ogromnym napięciu. Ani przez chwilę nie potrafiła zapomnieć, że kiedy ona odpoczywa, jakiś zmutowany wirus rozprzestrzenia się bezkarnie po mieście, wywołując choroby i zabijając wielu ludzi. W trakcie swojej kariery zawodowej Anna prawdopodobnie uratowała już przed śmiercią dziesiątki tysięcy istnień ludzkich. Jej największym sukcesem było wynalezienie sposobu zwalczania wysoce agresywnego wirusa, który ostatniej wiosny spowodował śmierć ponad dwustu ludzi w Indianie i Illinois. Prasa nazwała go skalpującym wirusem, ponieważ powodował między innymi łysienie i sączące rany na skórze głowy. Po dwóch miesiącach drobiazgowych badań Anna wyizolowała wirusa i opracowała bardzo skuteczną szczepionkę.

Mimo dotychczasowych osiągnięć nawet nie przychodziło jej do głowy, że mogłaby już trochę sobie odpuścić. Ale kiedyś przecież musiała odpoczywać, a podczas gdy ona spała, wirusy zmieniały się, przystosowywały do nowych warunków i uczyły się odporności na środki przeciwwirusowe. Stanowiły mroczną armię bez serc, niewidoczną gołym okiem i nigdy niezasypiającą.

– Pamiętasz Billa Kobera? – zapytał Bernie. Wsyłał do cappuccino cztery szaszetki cukru i energicznie zamie-

szał. – Oczywiście, że go pamiętasz. Utalentowany, wręcz natchniony, niemal geniusz, ale mocno szurnięty. Wiesz, co zrobił, kiedy od nas odszedł?

– Zdaje się, że pojechał do Indii, prawda?

– Tak. Prowadził tam badania nad neurotoksynami występującymi w uprawach nawożonych środkami chemicznymi. Chciał wiedzieć, jak wpływają na zdrowie miejscowej ludności. Napisał na ten temat artykuł do „Journal of Medical Toxicology”, cholera jasna.

– No i co z nim?

– Cóż, rząd Indii się wściekł, kiedy Bill ujawnił, że z powodu zanieczyszczeń przemysłowych umierają setki dzieci. Anulowano mu wizę i dano do zrozumienia, że ma czym prędzej spierdalać z Indii. Możesz mi wierzyć albo nie, ale wyjechał na Haiti, a tam z kolei odkrył, że zombi naprawdę istnieją.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że ten mężczyzna z sali pooperacyjnej to zombi?

– Nie, oczywiście, że nie. Wręcz przeciwnie. Kiedy Bill zajął się tak zwanymi dowodami na istnienie zombi, odkrył, że miejscowi mądrzy ludzie posiadają umiejętność wprawiania różnych osobników w trans podobny do śmierci, podając im kombinację tetrodotoksyn, czyli TTX, oraz bielunia.

– Tak, słyszałam o tym.

– Bill jednak przetestował te środki i dowiódł, że jest to absolutnie niemożliwe. Jak wiesz, TTX oddziałuje selektywnie na kanały wapniowe w błonach komórek nerwowych, a połączenie tych dwóch środków może spowodować wrażenie, że człowiek rzeczywiście umarł. Jednak ofiara albo w końcu umiera naprawdę, albo powraca do normalnego funkcjonowania, no, prawie normalnego, bo przez dłuższy czas jest mocno otumaniona. Ale powiedzmy sobie szcze-

rze: ludzie nie łążą po centrach handlowych, by znaleźć tam Bogu ducha winną ofiarę i ją zjeść ani też nie udają umarłego, żeby potem żądać „ocal mnie”.

– Masz rację – zgodziła się Anna. – Pewnie mi teraz powiesz, że to wszystko moja wyobraźnia i że w gruncie rzeczy potrzebuję odpoczynku.

– Kiedy ostatnio byłeś na urlopie? Na prawdziwych wakacjach?

– Trzy lata temu... Tak, zgadza się, pojechaliśmy do Boise, do rodziców Davida.

– I ty to nazywasz wakacjami? Mieszkanie z cudzymi rodzicami to kara! Pokuta. Więcej radości dałoby ci biczowanie się drutem kolczastym.

Anna dotknęła dłoni Berniego.

– Bernie, gdybyś nie był ode mnie o dwadzieścia lat starszy i piętnaście centymetrów niższy, gdybyś nie był już żonaty, a ja nie miałabym narzeczonego, natychmiast bym za ciebie wyszła.

Lekarz zrobił wielce rozżaloną minę, chociaż wiadomo było, że nie ma do nikogo żalu za swój los.

– Mój cholerny pech. Za wcześniej się urodziłem i niedostatecznie urosłem.

– Przyślę Epiphany, by pobrała próbki z ciała nieboszczyka. Dzięki za kawę, Bernie. Naprawdę, bardzo ci dziękuję.